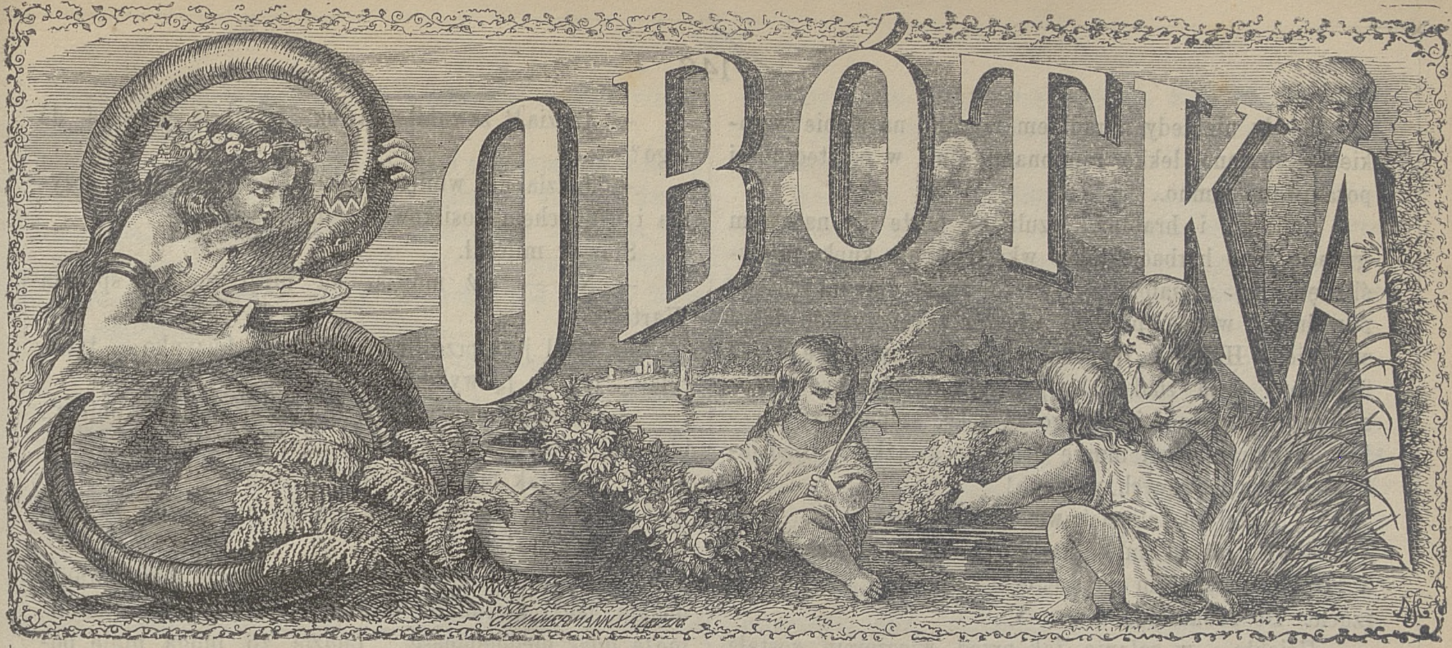


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№. 18. Poznań, dnia 1 Maja 1869. Rok. I.

W MĘTNÉJ WODZIE.

Obrazki współczesne

przez **J. I. Kraszewskiego.**

(Dalszy ciąg.)

— Miałem zaszczyt, rzekł do niego poważnie tonem grzeczności zimnéj, znać dobrze nieodżałowanéj pamięci czcigodną matkę WPana dobrodzieja, panią podkomorzynę, była to jedna z ozdób towarzystwa, prawdziwy przykład cnót chrześcijańskich — a co za pobożna i święta niewiasta!!

Pozbawionym pan jesteś przewodniczki w życiu najpożądańszéj..

— I czuję to mocno — rzekł Sławek, ale mi po niéj pozostały te prawdy i zasady, któremi się ona kierowała.

— Obyś je z religijną czcią zachować umiał, podchwycił Sopoćko.. Niestety! samém przybyciem do miasta naszego, jeśli nadzwyczaj bacznym nie będziesz na stosunki, narażasz się pan na wpływy.. bardzo oddziałać mogące.. Nasz czas, nasza młodzież, po części nasza literatura, obca także.. a szczególniéj niemiecka, prąd wieku wiodący na bezdroża.. wszystko to są niebezpieczeństwa.. szanowny panie...

— Nie spodziewam się im uledz.. odparł Świętosław...

— O! daj Boże! daj Boże! abyś zwiększył szereg obrońców prawdy, a nie zwolenników ponętnego fałszu! dorzucił Sopoćko.. Myślisz pan tu zabawić?

— Tego sam jeszcze niewiem dobrze.. wahając się, odpowiedział Młyński..

— Słyszałem, żeś pan czuł powołanie do literatury? spytał, uśmiechając się Sopoćko.

— Do nauki — poprawił Sławek żywo, chcę się uczyć i pracować.

— Wszystko zależy od tego, w jakim kierunku.. mówił Sopoćko — a do czegoż, jeśli spytać wolno, wiedzie pana szczególna skłonność?

— Potrzebowałbym dłużéj siebie wypróbować, aby na to pytanie odpowiedzieć.

— Co pan czytuje? dodał daléj stary.

— Nie robię wyboru, czytam wszystko.. jestem spragniony..

— Sopoćko spojrzał smutnie na młodego człowieka.

— Ośmieliłbym się uczynić mu uwagę, że system ten nie jest najlepszym.. Owszem zalecałbym wybór jak najsurowszy... pewien program.. ale ja pana znudzę, dodał.. proszę mi przebaczyć, jestem wyłączny nieco, stary i jak to mówią — fanatyk.. Fanatyzm jednak zdaje mi się konieczném następstwem silnych przekonań, tak jak tolerancya i obojętność jest cechą skeptycyzmu i niewiary..

Sławek zamilkł.. Sopoćko uznał zapewne, iż na pierwszy wieczór dostatecznie rozpoczął i pomówiwszy kilka słów obojętnych, poszedł ku kanapie dopomagać pani hrabinie Drejssowéj, która apostołowała za jakiémś bractwem świeżo z Francyi wszczepioném...

Pomimo, że towarzystwo z różnych było złożone żywiołów, hrabina Drejssowa, którą to dawniéj czytelnicy Rzewuskiego zwali matką kościoła.. — nadawała ton rozmowie — ale nie śmiejąc z nią walczyć, ani się jéj sprzeciwiać, a nie chcąc z nią polemizować, reszta gości zachowywała milczenie ostrożne. — Rozmowa ostygła, sztywna ożywić się nie mogła, czuć w niéj było niespójność członków towarzystwa...

Kiedy niekiedy ukradkiem rzucano na siebie wzrokiem.. ruszano lekko ramionami, lub w ostateczności potakiwano zimno..

Sopoćko i hrabina.. czuli się także nie na swym gruncie i po herbacie jakoś wkrótce cała kupka ta wyśliznęła się z salonu.. Był to znak dla innych do powolnego wynoszenia się, wieczór zakończył się dosyć smętnie.. Hrabina Wartska chcącemu już także wyjść Sławkowi dała znak, aby pozostał.. musiał być posłusznym.. Jadwisia ścisnęła go za rękę, szepnąwszy mu— Idę, rozbieram się i muszę doczytać książki... Siedziałam jak na żarzących węglach!

— Cóżci to tak ciekawego, rozpoczęła!

— A! mama mi dała Notre Dame de Paris V. Hugo... Stanęłam na scenie z Febusem... i musiałam rzucić. Do zobaczenia...

Uciekła... w salonie jak przed wieczorem została tylko hrabina w fotelu rozpinająca bransolety i Sławek przed nią z kapeluszem w ręku..

— Słuchajno, kuzynku.. muszę z tobą pomówić otwarcie... niedarmo jesteś kuzynkiem... odezwała się hrabina, czarującym uśmiechem go wabiąc... siadaj koło mnie... tu... blisko.. i zawrzyjmy ścisłe przymierze.. Chcesz mi być pomocą?

— Jesli potrafię? w czém? spytał Młyński.

— Jak ci się wytłómaczyć!... hm! słuchaj... Dotąd salon Drejssowéj był tu najpierwszym, najwięcéj uczęszczanym i jak oni zowią — wpływowym... Ale to, jak wiesz... fakcya ultramontanów i fanatyków.. Wiele osób z nimi pogodzić się nie może, bywa tam, bo niema gdzie bywać.. Ja chcę... jakżeby ci to powiedzieć?? nowe stworzyć ognisko... liberalne, w duchu czasu.. katolickie, ale swobodne razem.. ty już mnie rozumiesz? nie prawdaż? — Nie chodzi mi wcale o to, ażebym ja grała w niém rolę przeważną... ale ażeby ludzie, co się widzieć, rozmawiać, dowiedzieć się o czém, przedyskutować coś pragną, mieli swobodny salon,.. plac neutralny.. miejsce, gdzieby ich głosu żaden fanatyzm nie głuszył, żadne uprzedzenie nie tamowało..

Zdaje mi się kochany kuzynku, że jesteśmy jednych przekonań, że ty także rad byś szerzyć światło, pracować, torować drogi do postępu.. działać na ostygłą naszą społeczność... ofiaruję ci więc salon mój jako... pole do pracy... Ale ty może już rozumiesz..

— Doskonale, hrabino — odparł Sławek... jestem nawet uniesiony tą myślą, przyklaskuję, cieszę się — ale...

— Jakież — ale...

— Ale na co ja ci się tu przydam, człowiek nowy, nieznany.. obcy, niemający wpływu? Nie łudź się kochana pani — dodał, występując w ten sposób, wydasz wojnę hr. Drejss, a jéj klika zbrojną jest i straszną..

— No, to będziemy walczyli! spokojnie ozwała się hrabina — czy się lękasz?

— Nie — do walki przecież trzeba oręża i ludzi? Gdzież nasi zapaśnicy. Ja...? to za mało.

— Masz między młodzieżą stósunki...

— Tak, ale nie wielkie...

— A ja? a Jadwisia? nie jesteśmyż w swoim rodzaju potęgami i żołnierzami.

— Jadzia!! zawołał Sławek, pocóż ją mięszać do tego?

— Jadzia nie wmięszana, nie wiedząc o tém, oczyma i uśmiechem posiłkować nam będzie?

Sławek milczał.

— No — cóż mówisz na myśl moją? spytała Wartska.

— Myśl jest prześliczna, kochana kuzynko — tylko tylko... jak tu ją wykonać?

— Ja mam moje plany... nie darmo jestem kobietą.. idzie mi o to, ażebyś mi dopomógł.

— Cel tak piękny! całém sercem..

— Wiem, że stworzenie ogniska nie łatwe... że obca w mieście narażam się... że...

— Jeśli mi pozwolisz młokosowi zrobić sobie uwagę, dodam, rzekł nieśmiało Sławek, iż nawet pomoc moja... może mieć niedogodność... Ludzie źli mogą mnie posądzić..

Nieśmiał dokończyć, hrabina się rozśmiała.

— O co? o to, że się kochasz we mnie? albo w Jadzi? prawda...

Sławek zarumienił się, jak wiśnia.

— No, powiedzże, czybyś się wstydził, gdyby cię posądzono o jedno lub drugie?

— A! nie — ale dla was... dla hrabinéj... dla Jadzi.

— Dla mnie!! zawołała Wartska.. ja sobie z takich gawęd będą żartować... a przyznam ci się, że gdyby mi tak ślicznego chłopca, jak ty... dawano za kochanka... nie oburzyłabym się bardzo... Sławek zmięszany, się skłonił.

— Co się tyczy Jadzi... gdyby mówiono, że się starasz o nią — czy myślisz, że toby jéj zaszkodziło? Owszem, aby panna miała pretendentów, potrzeba koniecznie współzawodnictwa.. Słowem, nie wykręcisz mi się...

— Ja się nie myślę wykręcać! zawołał Młyński... całując ją w rękę.. i staję pod rozkazy tak pięknego i miłego hetmana...

— No, więc jesteś mój i śmiejąc się, rzekła hrabina... Najpierwszy rozkaz jaki wydaję, zwerbuj mi jako na obiad Samuela Kozikę.. Jemu się nie powie nic, ale go potrzeba zużytkować ...

— Za pozwoleniem — odparł Sławek — zemną kuzynko — zrobisz co zechcesz... ale z Samuelem potrzeba ostrożnie!

— Zostaw mi to! znam ludzi..

— Może sobie wyobrazić...

— Nie dam mu nic marzyć i nic wyobrażać... a teraz... dobranoc i obiad u mnie o piątéj... punkt o piątéj. Czekam was obu! A to cośmy z sobą mówili, pozostaje najgłębszą między nami tajemnicą... dobranoc..

— A Jadzi nie dam dobranoc...?

— Gdzież tam! ona już dawno w łóżku z książką... i muszę tylko dopilnować, żeby firanek nie popaliła!!

Uśmiechnęła się piękna hrabina, ścisnęła za rękę kuzynka, spojrzała mu w oczy... i wyszła powoli zamyślona.

Pierwsze dni spędzone w mieście tylu i tak rozmaitemi wrażeniami napoiły Młyńskiego, tak mu jakoś nie pomyśli poszły, a przynajmniéj nie według jego

planu — iż potrzebował sam z sobą się naradzić, nimby dalsze postanowił kroki.

Zdawało mu się, gdy opuszczał swą samotną izdebkę wiejską, swe książki ulubione i marzenia do ścian dworu przylgłe, że świat jest tym poczciwym światem dobréj wiary, o którym on śnił; że na nim są różnice przekonań szczere i każdy otwarcie pod swoją idzie z podniesioném czołem chorągwią...

Od pierwszych kroków zdumiał i zasmucił, znalazłszy wcale co innego... mało zasad i przekonań silnych, jeszcze mniéj mających odwagę wystąpić jawnie, interes panujący ponad wszystkiém, sobkostwo gorszące, ta tchórzliwość aż do upodlenia posunięta, a co najstraszniejsza — wyzyskiwanie wielkich idei na korzyść drobnych osobistości.

Ta miłość ojczyzny, najświętsze z uczuć, najczystsze.. nie sprofanowane dotąd... wydała mu się tu dziwnie zużytkowaną, zrozumianą... a co najsmutniéj — wyzyskiwana bezwzględnie. Zasłaniali się nią i mówili o niéj wszyscy, ale po za nią stawili — albo ambicyą własną lub interesa jeszcze nad nią nikczemniejsze.

Religia nawet... była przedmiotem frymarku, płaszczem hypokryzyi, narzędziem intryg — podporą zbutwiałych doktryn, które o swéj sile utrzymać się nie mogąc... chwytały ją... choćby z sobą ostatnią kolumnę gmachu obalić miały...

Wszystko, co słyszał, widział.. o co się ocierał, smuciło go, zdumiewało, przerażało. Przecierał oczy, nie chcąc im wierzyć... rzeczywistość straszna raziła je...

— Nie! tak źle być jednak nie może! wołał — ja mam wzrok zepsuty... lub nieumiem sobie wytłómaczyć tego, co widzę i źle rozumiem.. Nie mogę być lepszym nad to, co mnie otacza... jestem słabym i obłąkanym... Nie spodziewałem się przecie ideałów... ale to co widzę... obrzydza życie i rzeczywistość...

Męczył się tak Sławek i szukał samotności, aby przyjść do zgody z sobą... aby obmyśleć, co czynić... oburzały go co chwila krzywe drogi, myśli krzywe i głoszone jawnie zasady, których on ze swojemi pogodzić nie umiał..

Nie było dwóch ludzi w tém społeczeństwie, którzyby wzajem się nie czernili przed nim.. nie było dwóch przeciwników dobréj wiary, którzyby się poszanować chcieli. Otwierał dziennik i znajdował w nim oburzające wystąpienia, w jednym przeciwko przeszłości, w drugim przeciw teraźniejszości, w innym przeciw osobom polemikę zamiast wojny z ideami.. Obok tego rozsiadała się — blaga, fałsz napuszony i cynizm nie umiejący nic powstrzymać. W kilka dni już widział jawnie, że prototypem nikczemności.. był ten Drabicki, którego on na pierwszym wstępie do miasta spotkał i którego układnéj wymowie zawierzył.

Z kimkolwiek mówił, każdy mu wskazywał tego człowieka, jako intryganta nie zasługującego na najmniejszy szacunek, ani talentem, ani charakterem.. przecież zarazem widział wpływ, jaki on wywierał, siłę, jaką miał.. Jakże to sobie było można wytłómaczyć?

To przechodziło pojęcie..

Tysiące tego rodzaju zagadnień cisnęło mu się do myśli — żadnego nie umiał rozwiązać.. W społeczeństwie na próżno szukał jasnéj gwiazdy przewodnéj, przedstawiciela kraju i opinii, znajdował kuchmistrzów politycznych i komedyantów popularności polujących na oklaski.

Chodził i gryzł się i płakał w duszy..

Chwilami zapał nim owładał — mówił sobie — świat zepsuty, ale nie jest zgniłym tak do szczętu, aby go idea święta, jasna uleczyć nie miała. Trzeba więc stanąć do boju, nastawić piersi, wołać, prowadzić.. karcić... walczyć..

Samemu??

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Skarga dziewczęcia.

Das süsseste Glück für die traurende Brust
Nach der schönen Liebe verschwundener Lust
Sind der Liebe Schmerzen und Klagen!
(Schiller.)

Żegnam was, lube, urocze marzenia,
oście tak słodko duszę kołysały,
Sny złote, rajskie wśród ziemi widzenia,
O! jak wy nagle wszystkie się rozwiały.

Gdzie ty, nadziei gwiazdeczko promienna,
Coś na błękicie życia mi świeciła,
Gdzie ty, miłości różyczko wiosenna,
Coś życie szczęściem, rozkoszą barwiła? —

Gdzie ty, o! jasne, ciepłe słońce wiary,
Coś mi świat cały w okół promieniło,
Gdy szczere, proste me serce wierzyło
W szczęście i rozkosz na ziemi bez miary!

I w świętość uczuć i szlachetne cele,
W przyjaźń i miłość gorącą, prawdziwą;
O! wiosno życia — czemu ty tak wiele
Kwiatów przed duszą rozwinęła tkliwą? —

Wszystkie uwiędły! — jak senne marzenie,
Szczęście i rozkosz życia się rozwiały,
I jedne tylko w duszy pozostały:
Boleść, tęsknota i gorzkie zwątpienie!

Tak się skarżyła blada, złotowłosa
Dziewica, śliczna, o modrém spojrzeniu,
Dwie oczu gwiazdki wysłała w niebiosa
Do gwiazd — siostrzyczek na jasném sklepieniu.

I cisza w około — tylko serca bicie
Słychać i rzewne westchnienia tłumione.
I pusto w około — tylko na błękicie
Mrugają gwiazdek oczki zasmucone.

I płynie skarga po rosie majowéj,
Słyszy ją słowik w krzewinie ukryty,
I cichy wietrzyk z zielonéj dąbrowy —
I płynie skarga aż w górne błękity! —

Poznań, dnia 1 maja 1869 r. T...... R.



Oryle. (Obraz W. Stryowskiego.)

Oryle.

(Z ryciną.)

Na żadnéj z rzek większych europejskich spław nie odbywa się dotąd w sposób tak pierwotny, jak na Wiśle. Parowce, prócz w okolicach najbliższych Warszawy, zaaklimatyzować się nie mogą, szkuty czyli berlinki, w porównaniu do tych, które się widuje na obrazach starych w miastach nadwiślańskich, przybrały wprawdzie nieco modniejsze kształty, ale główny towar wiślany, — drzewo spławia się tak samo jeszcze, jak przed 500 laty, a galary, któremi z Królestwa sta tysięcy korcy pszenicy corocznie zawożą do Gdańska, nie różnią się w niczem od tych, które za czasów Kochanowskiego i Klonowicza budowano.

Podobnież i załoga tych staropolskich flot wiślanych, z pozoru, sposobu życia, obyczajów, nosi jeszcze cechy odwieczne, proste a miłe, choć niekiedy trochę brudne.

Załogę każdéj tratwy*) lub galaru składa czterech orylów czyli flisów; dwóch stoi przy wiosłach z przodu — na głowach, — dwóch z tyłu — na calu Nie wiosłują właściwie dla przyspieszenia, lecz tylko nadają długiemi pojazdami kierunek z wodą płynącemu galarowi. Rotman woła: „głowy na wodę,“ , calem na wodę,“ lub przerwie: calem do lądu, głowy do lądu,“ wedle tego czy w tę lub ową stronę spławem chce kierować.

Oryle, są to wieśniacy, którzy dla zarobku najmują się do spławu — idą na flis. Najwięcéj ich idzie z Krakowskiego, z lubelskiego Powiśla i z nad Bugu. Rozpoznać ich można po mowie i ubiorze. Pierwsi mówią po polsku i chodzą przeważnie w białych, płóciennych siermięgach, drudzy mówią po rusku, a noszą bure samodziełowe kubraki, ilekroć nie występują w saméj tylko koszuli na wierzch zapuszczonéj; bo to jest wspólny wszystkim mundur flisi od roboty i wielkiego upału. Rusini noszą na głowach okrągłe samodziełowe bure czapki z czworograniatém dnem. Z każdego rogu sterczy pstry kutasik, krakowscy zaś w konfederatkach, kapeluszach, bobach itp. Kapelusz słomiany z ogromnemi skrzydłami jest dla wszystkich znów neutralném nakryciem głowy. Od czasu ostatniéj wojny austyackiéj i wyprzedaży niepraktycznych mundurów wojska austryackiego wielka część orylów zaopatruje się na drogę w pożołnierskie rzeczy. Psuje to malowniczość starodawnéj prostoty i swobody.

W ogóle oryle z Krakowskiego są rośli, silni, schludni, weseli; rusińscy wynędzniali, niskiego wzrostu, brudni i ponurzy.

Kto orylów studyować chce, musi ich spotykać w Gdańsku lub w Toruniu. Gdańsk jest ostatnim kresem podróży, gdzie się zwykle zabawiają i zaopatrują na powrót, Toruń zatrzymuje wszystkich dla komory, a powtore ztąd, że wielka część już od ujść Brdy wraca do Torunia, oddawszy drzewo na spław dalszy koniom i śluzowym knechtom kanału bydgowskiego.

Na toruńskim rynku codziennie kilkadziesiąt postaci orylskich spotkać można. Szczególnie lubią siedzieć, stać i rozkładać się na stopniach pomnika Kopernika. Dotąd nie udało mi się podsłuchać, jak go między sobą nazywają. Zdarza się, że ustawią się tam jakby dla malarza, a śpiżowemu Kopernikowi wcale do twarzy stać wpośród drużyny prostaczków malowniczych.

Naprzeciwko Kopernika jest a raczéj była główna gospoda orylska, dystylacya „pod Turkiem.“ Dziś nowy właściciel zostawił wprawdzie Turka nad drzwiami, ale umniejszył, odświeżył, ubielił lokal, a co najgorsza wyrzucił z szynku gdzieś na podwórze (może tymczasowo) ogromną beczkę z Bachusem siedzącym na niéj. Oryle nazywali go „babą,“ a który pierwszy raz do Torunia przybywał, włazić musiał do „baby“ i całować ją. Raźniéj było orylom w starodawnym lokalu, czarnym i brudnym od dymu i wieków.

Wódka, ile możności z anodynami, jest prócz wody jedynym napojem, jakiego oryle używają. Lubią sobie podochocić, niekiedy się upijają do nieprzytomności, jednakże i opilstwo ich i zachowanie się w stanie zalkoholizowania bez porównania jest przyzwoitsze i moralniejsze, jak u marynarstwa cywilizowanego po miastach portowych żgającego się nożami.

Pracują, gdy potrzeba, do nadwerężania sił, zadowalniają się małym zarobkiem i chudą strawą Groch, krupy, ziemniaki, rzadko ze szperką, stanowią zwykle ich pożywienie, śledź należy do zbytków, a bułki jeszcze nie widziałem w ręku oryla; kupują tylko chleb pytlowy. Dawniéj podobno lubili gęsinę, Klonowicz przynajmniéj ostrzega, żeby chować gęsi przed nimi, bo kradną; być może, że i dziś im się zdarza sięgnąć po rzecz obcą ale wiem od osób mających niejakie stósunki z ich sumieniami, że największa kradzież, jaka im się zdarza, jest uzbierać trochę suchego drzewa na ognisko gliniane, na którym gotują sobie obiady.

W jednéj rzeczy tylko oryle zbytkują. Gdy staną u kresu podróży, wezmą zarobek, często okrojony nieuczciwością kupca, wielu wyrzuca po kilka talarów na kupienie skrzypek, a nawet basetli. Dziwią się temu ludzie cywilizowani, aleć dla oryla pacierz, piosenka i muzyka są objawem oraz i jedyną strawą moralnéj istoty ludzkiéj. Nie szczędzą tedy i na potrzeby ducha. Grać na skrzypcach znaczy u oryla tyle, co być skończonym, wykształconym człowiekiem; każdy grajek jest poważany u niemuzycznego gminu. Pocieszne bywają sceny targu, a gdy go nareszcie dobito, rozpoczyna się muzyka gdziebądź, choć na środku ulicy. Grającego obstępują koledzy, a gdy utnie od ucha, nogi samochcąc poskoczą, — okrzyki, ściskania! Takie sceny w Gdańsku i Toruniu widzi się na schyłku lata codziennie. Taką scenę przedstawił Stryowski w pięknym obrazie, którego kopią dziś podajemy.

Wtedy to wśród ogólnéj ochoty, przyśpiewują oryle rozmaite piosnki, z których parę urywków podajemy:

Warsawa miasto duze,
Siedzi sobie na góze,
A przy niej stary Kraków,
Ojciec Polaków.

Do bzega bracie — do bzega!
Po wodzie się rolega,
Już tam drudzy hulają,
Już się tam ludzie bawią.

Oj oryle, oryle wszyscy poginiecie,
Ze od Gdańska do Warsawy karcmy nie miniecie
Oj dziwują się ludzie, za co oryl zyje,
Oj za tę drygaweckę,*) co ją Wisła myje.

O pracowitości orylów dodać jeszcze muszę, że wielu w drodze w chwilach wolnych od służby zabawia się różną pracą, której wyroby sprzedają. Robią klatki, wielkie dla drobiu, małe, niekiedy dosyć zgrabne dla ptasząt pokojowych. Kiedyś nabyłem od flisa krzyż drewniany, składany z wielu set drobnych kawałków drzewa, wiązanych bardzo misternie w bardzo proporcyonalną całość. Artysta ten pochodził z Czerniechowa pod Krakowem, był młody i bardzo skromny.

Ch.

*) Tratwa składa się 2—4 tafli drzewa, tafla składa się z dwudziestu kilku sztuk drzewa związanego obok siebie w całość jednę. Trzy do czterech tratew składają koléj. Każdéj kolei przewodzi rotman, zwany majstrem.

*) Drygawka, flisowski wyraz, rudel tratwiany.

O tańcach w Polsce.

(Dalszy ciąg.)

Po tańcach religijnych u pogańskich jeszcze Słowian zachowały się ślady do dzisiaj w całéj niemal Polsce. Kiedy zbierała się gromada dawnych Słowian na wiece czyli na radę, kiedy z tak zwanéj dziewiczéj góry zstępowały młodociane, przyszłe mężnych Słowian oblubienice, zamężne niewiasty, żonaci, starce i dzieci, wszystko to klaszcząc w dłonie i wzywając boga piękności i porządku Łado, wśród pląsów i śpiewów postępowało na miejsce, zwane uroczysko, gdzie się odbywały ofiary, obrządki religijne i wspólne biesiady. Długosz powiada, że za jego jeszcze czasów w Zielone Świątki pospólstwo zowiące się bożém stadem pogańskie odbywało tańce i igrzyska, zwane skorochodem, czyli tańcem. Z tych najdłużéj, bo aż do dziś, zachowały się igrzyska, sobótki zwane. Lud polski, nie chcąc im pogańskiego nadać pochodzenia, ażeby nie wyszły z obyczaju, tłómaczy ich początek następną legendą. W dawnych wiekach, dziewica Sobótka kochała Sieciecha. Gdy ten z dalekiéj powrócił wojny i oblubienicy swéj przez czas tak długi wiary dochował, miał kochających się ślubny połączyć związek. Już weselne zapalono ognie i w koło nich zebrana drużyna bawiła się w pląsy. W tém ukazuje się tłum najezdników, rzucają się wszyscy do broni, nieprzyjaciel odparty, lecz w walce téj, w któréj niewiasty równy z mężczyznami brały udział, Sobótka śmiertelny odnosi pocisk. Na jéj to cześć w dzień św. Jana niecą ognie, tańczą w koło nich, a ująwszy się za ręce parami przez ogień przeskakują. Jeżeli wśród skoku nie puściły się ręce, duch Sobótki im sprzyja i pomyślna dla obojga młodych wróżba. Śladów tańcy symboliczno-religijnych w Polsce po zaprowadzeniu wiary chrześciańskiéj nie zdarzyło nam się napotkać. Te zaś, które z ościennych Niemiec wraz z sektą Biczowników u nas rozpowszechnić usiłowano, nie trzymały się wcale długo, jakkolwiek w Niemczech i w innych krajach szeroko były rozgałęzione. Sektę tych fanatycznych tanecznikόw tak opisuje współczesny dziejopisarz niderlandzki. Dnia 17 lipca 1374 r. wedle jego podania zjawiła się osobliwsza sekta, która z górnych Niemiec przeszła do Akwizgranu, z tamtąd do Utrecht, a z Utrecht do innych miast Belgii. Do połowy nadzy, w wieńcach na głowie, ci opętańcy płci obojga wykonywali tańce po ulicach, po domach i w kościołach. Sekta ta we wrześniu liczyła już kilka tysięcy zwolenników, a co dzień przybywały z Niemiec nowe tłumy tanecznikόw. Do jakich rozmiarów fanatyczna ta sekta tanecznikόw doszła, i jak długo grasowała w Niemczech, nie podaje on wcale. Wszakże nie same tylko Niemcy i Niderlandy dotknięte były tym chorobliwym szałem równającym się obłąkaniu; pojawił się on kilka lat poźniéj w Francyi, kiedy za czasów Dziewicy Orleańskiéj wojna sprowadziła głód, a głód sprowadził morowe powietrze. Nie było co jeść, nie było się czém ogrzać, wyłapano i zjedzono wszystkie domowe zwierzęta; wsie całe stały pustkowiem, bo włościanin opuszczał pług i role, mąż opuszczał żonę, żona opuszczała męża i dzieci i wszyscy chroniąc się przed zarazą, uchodzili w lasy, podczas gdy stada wilków samopas zachodziły aż na przedmieścia Paryża.

„Gdy nędza dojdzie do tego stopnia — mówi Michelet — gdy serce z rozpaczy pęka, wtedy już człowiek nie płacze. Zdroje łez, to źródło niosące ulgę w cierpieniu, zasycha, a śmiech dziki, szatański osiada na ustach.“ Śród najsmutniejszych czasów, śród chwil strasznych cierpień ludu, pojawiają się zwykle szalone, rozpasane wybryki radości, niby kurczowe drgania całego ciała społecznego.

W owych czasach średnich wieków, o których mowa, nawiedzał bardzo często wszystkie kraje Europy głód i morowe powietrze. Wtedy to chorzy i zdrowi tańczyli razem po ulicach, a nawet po kościołach chwytali się konwulsyjnie za ręce i tworzyli tańcujące koła. Nie jeden, który się z początku śmiał z tego, przypatrując obojętnie, zaczął się obracać, rwać się do tańca, sam nie wiedząc, jak się dostał w koło. Coraz więcéj mnożyło się par, coraz bardziéj splatały się z sobą w obszerny wir tanecznikόw — namiętnych, zaciekłych, szalonych, wszystko z sobą porywających i wszystko roztrącających. Zatrzymać ten potworny łańcuch w biegu, było prawie rzeczą niepodobną.

Ten fenomen XIV wieku nie pojawiał się już więcéj w wiekach następnych, ale za to pokazał się w Anglii, Francyi i w Niemczech inny rodzaj igrzysk, przypominających owe chorobliwe szały fanatyczne. Był to taniec umarłych, zwany także Makabra, czyli pogrzebowy dla tego, że się na smętarzach odbywał. Anglicy najwięcéj w nim znajdowali upodobania i zaprowadzili go do Francyi. Tańcom tym dać miały początek mimiczne przedstawienia rzeczy świętych w kościołach, w kruchtach i na smętarzach, które wtenczas były w modzie. Przedstawiano n. p. Sąd ostateczny, Zmartwychwstanie itp. Widać jeszcze dziś po wielu miastach stare malowidła, wystawiające śmierć idącą w tany z ludźmi wszelkiego wieku i stanu. Taki obraz olbrzymich rozmiarów znajduje się u OO. Bernardynów w Krakowie; przedstawia on zapusty — ostatnie zapusty życia ludzkiego. Przy starym klawikordzie usiadła blada śmierć, szatan wskazuje jéj pazurami jakąś piekielną przegrywkę, daléj szatany ze skrzydłami nietoperza, w postaciach takich, jakie sobie wyobrażał lud całéj Europy, tworzą orkiestrę, a rozliczne grupy składające się z różnego stanu ludzi, kardynałów, magnatów, królów, dziewic i starców, tańczą z kościotrupami.

W Polsce pojawiały się te chorobliwe tańce tylko z przybywającemi sektami, lud polski nie brał w nich żadnego udziału.

Taniec towarzyski wyraża powszechnie uczucie radości lub zadowolnienia wewnętrznego i jest już to poważny, już tkliwy, już téż skromny. Do tego rodzaju należą wszelkie narodowe i obce, któreśmy rozmaitemi czasy od obcych przyjmowali, a które dzisiaj po największéj części zniknęły bez śladu i zaledwo z nazwiska są nam znane. I tak od Włochów mieliśmy galardę, pergamuszkę, kapreolę i matriduro, — od Hiszpanów: sarabandę fandango z kastanietami i baleros z tamburynem, — od Francuzów kadryla, kontredansa, gawotta, girlandę, kotilliona, szal, galopadę i inne. Od Niemców już to za pośrednictwem królów z saskiego domu, już téż przez sąsiedzkie stósunki, nareszcie przez często brane z cesarskiego domu żony dla naszych panujących królów, wcisnęły się drabanty z pochodniami, sztayery, walce, cwejtryty, lendry itp. Od Szkotow przez stósunki kupieckie z tym krajem pozostał nam szotysz, od Czechów przejęliśmy polkę, od Moskali byczka, a nawet żydowskie i cygańskie mieliśmy u nas tańce.

W Gdańsku, witając Maryą Ludwikę, żonę Władysława IV, urządził lud taniec, w którym papierowe przezroczyste w rozmaitych kolorach laternie świeciły tańczącym na głowach; w ręku mieli obręcze, któremi zręczne okazywali sztuki w takt bębenka i piszczałki.

Do czystopolskich czyli narodowych tańców liczymy poloneza, mazura, krakowiaka i obertasa czyli kujawiaka; wszystkie zaś inne są pochodnemi poprzednich i nie są niczém innem, jak powyższych mniejszą lub większą modyfikacyą.

Polka, ulubiony i upowszechniony naszemi czasy taniec towarzyski, pochodzi nie od polskiego wyrazu Polka, jako kobieta, lecz od wyrazu czeskiego pulka, połówka niby od pół taktu panującego w jego muzyce. Taniec ten pod rozmaitemi miejscowemi nazwiskami znany był od dawna między ludem w Czechach, Morawii, na Szląsku, u Słowaków, a nawet i u Wielkopolan, przeradzając się i mięszając tamże z szotyszem lub lendrem. Z Czech, mianowicie z okolic Giczynu wyprowadzony z ukrycia wiejskiego wszedł w wyższe koła towarzyskie i zajął wszelkie salony. Około r. 1835 tańczono go w Pradze, r. 1839 przeniósł go do Wiednia oddział choru muzycznego strzelców pragskich, gdzie tak muzyka jak i taniec nadzwyczaj się spodobał. W roku 1840 czeską ową polkę tańczył na scenie teatru w Paryżu tancmistrz Raab z Pragi.

(Dokończenie nastąpi.)

Jakuty.

Sybir, — ten czyściec, przez który tysiące z nas jeszcze za życia przechodzić musi, — straszny jest nie tylko nieludzkiemi wymysłami cara moskiewskiego wiecznem śniegiem, arszenikowemi kopalniami, morderczemi pałkami, ale nie mniéj towarzystwem, jakie każdy nieszczęśliwy wygnaniec, zapędzony w śnieżne stepy Sybiru, znajduje na całéj obszernéj przestrzeni, począwszy od gór Uralu aż do kończyn Kamczatki, na któréj zamieszkują rozliczne plemiona Kirgizów, Tatarów, Mongołów, — plemiona barbarzyńskie i na pół jeszcze dzikie.

Po ostatniéj méj podróży po rzece Lenie, rozchorowany, pokaleczony, zatruty, najokropniejszą przyciśnięty nędzą, dostałem się w połowie stycznia b. r. do Kiryńska, zkąd, przyszedłszy nieco do sił i zdrowia, ruszyłem w dalszą podróż. Przybywszy do Jakutska, puściłem się ztąd w dalekie stepy Jakutskie, podróżując konno podczas najsilniejszych mrozów po ośm godzin na dobę. Nie czułem mych członków, gdyż te były obumarłe, a gdy mnie zesadzano z konia położono mię na śniegu, jakby bryłę lodu i rozcierano, dopókim niezdołał podnieść się i zawlec do jurty, która dla mnie w ówczas więcéj znaczyła, aniżeli najwspanialszy pałac. Nikt z Europejczyków nie mógłby sobie wyobrazić, jak wygląda jurta, t. j. mieszkanie Jakuta. Okna małe, zabite grubym lodem, drzwi dla ludzi i bydła jedne, tak niskie, iż, żeby nie uderzyć się w głowę, trzeba się złożyć we czworo. Wnętrze jurty ozdobione jest na środku dużym a niskim kominem, na którym ogień rzęsisty ciągle goreje, zresztą ciemna i brudna powłoka pokrywa to nędzne człowieka schronienie. Jakuty, prawie w kostiumach adamowych, obsiadują ognisko, pożywają mleko z korą sosnową, kobylinę, lub rybę nieoskrobaną, którą żywcem nadziewają na patyk i pieką w ogniu. Na zjawienie się obcego człowieka rozbiega się po kątach gromadka i przygląda mu się ciekawie. Aby ich oswoić, dałem im troszkę tytuniu, któren dla nich największym jest specyałem, oni zaś przynieśli mleka i śmietany. Jakut nie grzeszy pięknością, jest to typ mongolski, śniadomiedzianéj skóry, włos ma czarny, równie i oczy, nos mały, płaski, usta szerokie, zęby białe jak kreda; nogi i ręce u kobiet szczególnie są małe i kształtne. W ogólności Jakuci silnie są zbudowani, zręczni i zwinni, przebiegli i chytrzy, sposobni do topora i noża. Trudnią się oni przedewszystkiém polowaniem i rybołówstwém, co stanowi u nich główny handel. Nieprzyjaciele wody, umywają się więc za pomocą deszczu spadającego z nieba na ich twarze. Chleba nie znają, za żadne pieniądze go nie dostaniesz; za to ryba wyborna, sterla, nielma, moksun, które zmarznięte, wyborne są do jedzenia na surowo; nazywają to straganiną. Wódka dla Jakuta jest błogosławionym trunkiem, podochociwszy sobie, śpiewa tremulando w dwoch jednostajnych tonach. W strzelaniu z strzelb i łuków niezmiernie są zręczni, rzadko chybiają do zwierza lub ptaka grubego. Zwawe tańce są zupełnie u Jakutów nieznane, ale poważny łańcuch lub koło ze śpiewem, z powolnym krokiem naprzód i wtył, trwa godzinami. Gromla cygańska i tamburyno stanowi całą orkiestrę.

Powiastki i bajki lubią Jakuci opowiadać i słuchać opowiadających, potakując stękaniem choralnego całego towarzystwa; zdarza się to szczególnéj wtedy, gdy idą na spoczynek. Śpią na skórach jelenich, końskich lub zajęczych, a gdy przybędą znajomi lub nieznajomi na noc, natłoczy się zawsze znaczna gromada do jednéj jurty i po długich rozhoworach, zasypia pokotem na ziemi słomą wysłanéj. Kostium ich świąteczny składa się z czapki futrzanéj w kształcie stósowanego kapelusza, spiczastéj u wierzchu, oblamowanéj na dłoń suknem karmazynowém lub pąsowém, z pasa srebrnego, lub kolorowego, z torbasów na nogach ze skóry jeleniéj i spodni obcisłych ze skóry łosiowéj lub bydlęcéj. Śród tego plemienia przepędziłem parę miesięcy, nie rozumiejąc ich i przez nich nie rozumiany. Porozumienie odbywało się przez pantominy, często dziwaczne. Dodać mi jeszcze wypada, że się z nadzwyczajną ciekawością przypatrują naszym obyczajom, mianowicie jedzeniu, ubieraniu, rozbieraniu; stają wtedy wszyscy w koło, jak na przedstawieniu — a kuferka nie otwieraj, bo ci pewno coś zwędzą i jeszcze wyśmieją.

W.

Gdzie św. Wojciech został zabity?

Niezadługo dziesięć upłynie wieków, jak św. Wojciech, jeden z pierwszych rozkrzewicieli wiary chrześcijańskiéj pośród narodu naszego i u sąsiednich nam pogańskich Prusaków, poniósł śmierć męczeńską, a trudno nam jeszcze oznaczyć miejsce, w którém się to rzeczywiście stało. Dotąd utrzymywały się dwa mniemania: jedni sądzili, że został zabity w Samii, drudzy znowu że nad jeziorem Drausensee. W ostatnich czasach wystąpił niemiecki profesor, Brandstäter, który ani się znając dobrze na ówczesnéj historyi narodu naszego, ani téż umiejąc dobrze czytać stare księgi i rękopisy, które nam podają szczegóły o męczeńskiéj śmierci św. Wojciecha, sili się na to, ażeby dowieść, że św. Wojciech wcale daleko po ziemi pogańskich Prusaków nie podróżował, ale zaszedł jedynie do ziemi chełmińskiéj i tu osiągnął palmę męczeństwa. I tak, chociaż stare księgi wyraźnie wspominają, że św. Wojciech przybył do miasta Gidanic, które leżało nad morzem, że tam chrzcił „wielkie tłumy" niewiernych, to jednak niemiecki profesor dowodzi, że to nie jest miasto Gdańsk, że to nie mowa o chrzcie Prusaków ale Polaków. Ażeby poprzeć swoje zdanie, powołuje się na to, że Bolesław Chrobry, u którego św. Wojciech w wysokim był poszanowaniu jako mąż świątobliwy i jego osobisty przyjaciel, dał mu w podróż tylko 30 rycerzy do obrony, czegoby był jednak nie uczynił, gdyby św. Wojciech miał się zapuszczać w głąb' pruskiéj ziemi. Utrzymuje on nadto, że to nie Prusaków ale Pola-

ków chrzcił „wielkie tłumy“ i to nie gdzieś głęboko w ziemi pruskiéj, ale w Gnieźnie samym i jego okolicy.

Otóż rzecz się ma tak. Król Bolesław rzeczywiście przydał św. Wojciechowi tylko 30 rycerzy na towarzyszów, a to dla tego, że wówczas zbierał liczne siły przeciw Niemcom, którzy tępili ze szczętem Słowian nadelbiańskich i młode dopiero królestwo polskie od razu zniszczyć chcieli. Nie mógł więc rozdzielać swojego wojska i wysyłać go przeciw Prusakom, których chciał wprzódy na łono wiary chrześcijańskiéj nawrócić. Daléj fałszem jest, ażeby św. Wojciech miał chrzcić „wielkie tłumy“, około Gniezna, bo wiara już była u nas wówczas od 20 lat wprowadzona a w Gnieźnie z pewnością mocno ustalona, gdyż Gniezno było stolicą królestwa; tu byli arcybiskupowie, tu mieli swój dwór pierwsi nasi królowie, Mieczysław i Bolesław, o utrzymanie wiary wielce dbali.

W starych księgach i rękopisach czytamy zresztą wyraźnie, że św. Wojciech dotarł aż do samego morza, do miasta Gdańska, gdzie wówczas panował mały książę pruski. Nigdzie się jednak doczytać nie można o miejscu, gdzie św. Wojciech został zabity. Myślał nad tém długo, sędziwy badacz naszych pierwszych dziejów, uczony Bielowski z Lwowa. Udał się on w tym celu r. 1856 do zagranicznych bibliotek i w Monachium, przewracając zakurzone rękopisy, dotąd żadnemu niemieckiemu uczonemu nie znane, odkrył stare pismo z napisem na pierwszéj stronicy: Passio St. Adalberti. — Męka św. Wojciecha. Skąd się pismo to dostało tak daleko aż do stolicy królestwa bawarskiego, trudno wiedzieć. Nie ulega jednak wątpliwości, że Mękę tę pisał Polak, bo zna ówczesne sprawy Polski doskonale i wszystkie imiona polskie i słowiańskie, które Niemcom tyle sprawiają trudności, jak Radzim, Bogusz, Wojtak, Wojtek, są dobrze wypisane. Nieznany autor tego rękopisu powiada wyraźnie, że św. Wojciech poniósł śmierć męczeńską pod Cholinem, które jak się domyśla młody dziejopisarz, Dr. Kętrzyński, leżało pod Fischhausen, gdzie dzisiaj jest wieś Kallen, a więc w głębi ziemi pruskiéj, blisko morza.

Ale niemiecki profesor Brandstäter inaczéj to tłómaczy. Cholin wedle niego ma znaczyć Cholm, niemieckie Culm, a więc Chełmno. W ziemi zatém chełmińskiéj miał być św. Wojciech zabity. Dla czego niemiecki profesor wpada na takie domysły, gdy prawda leży na dłoni? Oto jemu chodzi o coś innego a nie o prawdę. Twierdząc, że św. Wojciech został zabity w ziemi chełmińskiéj od Prusaków, chce on tém samém dowieść, że w téj ziemi od dawien dawna nie siedzieli Polacy, ale Prusacy, że ta ziemia nie do Polski, ale do Krzyżaków należała, którzy plemię Prusaków zamiast ochrzcić, do szczętu wytępili i ziemię ich zagrabili. Tymczasem ziemia chełmińska była zawsze przez Polaków zamieszkałą i do Polski należała, a Krzyżacy wdzierali się tylko do niéj, jak się wdzierali do innych ziem polskich i do Litwy. Na nic się tu nie przyda wzywać przeciw nam samym własnych naszych Świętych, ażeby jako patroni świadczyli przeciw własnemu swemu narodowi, — prawda bowiem zawsze na jaw wyjdzie.

X. J.

ROZMAITOŚCI.

Młodzian puszczony na loteryę.

Do Nowego Jorku przybył niedawno urodziwy i niezmiernie bogaty młodzian z Kalifornii, z postanowieniem użycia wszelkiego rodzaju rozkoszy.

Któż zdoła wyliczyć dziwactwa, jakie popełniał, wdzięczną rozrzutność, z jaką rozpraszał swe skarby. — Aby dać mały dowód wybryków pięknego utracyusza, dość powiedzieć, iż jednego dnia ogłosił w dziennikach nowojorskich, że każdemu, który zażyje pewnego rodzaju lekarstwo, aptekarz wypłaci 5 dolarów i w tym jednym dniu znalazłszy 50,000 ochotników, wypłacił 300,000 dol.

Ekscentryczność uczyniła go wyrocznią mody, księciem salonów i ulubieńcem dam, które setkami ubiegały się o jedno spojrzenie przecudnego młodziana.

Dzienniki rozniosły sławę po całéj Unii, bo w przeciągu 10 miesięcy stracił przeszło 4 miliony dolarów.

Ale na koniec jednego dnia młodzian ujrzał ostatni cent na dnie swojéj szkatuły. — Inny byłby sobie życie odebrał, lecz nasz bohater postanowił wyratować się energicznym środkiem. Puszcza się tedy na loteryę. Dama, która główny los wygra, może albo go zaślubić, albo wziąć połowę zebranéj sumy. Sto tysięcy losów po 20 dolarów rozerwano w powietrzu. Ciągnienie ma się odbyć wkrótce. Damy z gorączkową niecierpliwością oczekują wiadomości, którą z nich kapryśny los uszczęśliwi młodzianem.

Nowe wyroby papierowe.

Amerykańskie fabryki wynalazły sposób zaprawiania chemicznie gęstwy papierowéj i wyrabiają z niéj rozmaite naczynia jak np. balijki, cebrzyki, konwie, miski, rondelki i t. d. Nie działa na nie ani woda, ani kwasy, można w nich gotować wodę, a i mróz im nie szkodzi; nie próchnieją jak drzewo, ani ulegają wpływowi powietrza i wilgoci, jak sprzęty żelazne, woda nie naciąga z nich smaku lub woni, jak się to dzieje w innych naczyniach; są lżejsze od drewnianych, płyn nie ciepleje w nich tak prędko, jak w drewnianych, a pewien gatunek pokostu, którym są pokryte, nadaje im piękne wejrzenie.

Potworny koncert.

W Stanach Zjednoczonych wszystkie przedsięwzięcia dochodzą do potworności. W czerwcu odbędzie się w Bostonie koncert, na którym 1000 muzykantów utworzy orkiestrę, chór złożony z 10,000 mężczyzn, a na zakończenie 20,000 dzieci odśpiewa hymn narodowy. Zamiast wielkiego bębna (grand' cassa) użyją strzałów z dział, których zapały będą połączone z pulpitem dyrektora drutem elektrycznym. Ktoby z naszych stron chciał usłyszeć ten koncert straszliwy, ma jeszcze dosyć czasu do wyjazdu.

Oryginalne napomnienie.

W dziennikach nowojorskich pojawił się następny inserat: „Młody człowiek, nazwiskiem Bacon, pożyczył u nas przed miesiącem 5 dolarów; miał je oddać za tydzień. Ponieważ to jest gentlemen sławny, a dotąd nie zapłacił, więc niezawodnie umarł; być może, że go niniejsza odezwa wskrzesi.“ U nas podobne upomnienia zdałyby się dla pożyczających książki.

Szarada.

Z pięciu zgłosek się składa.
Trzy słówka posiada.
Pierwsze ojcom pożądane,
Drugie jest myśliwym znane,
Trzecie wszyscy posiadamy,
Gdy jest piękne, podziwiamy.

(Rozwiązanie szarady w nr. 17: ***Aniela.***)

PUSZKA DO LISTOW.

Panu Mar. z pod Kiszkowa: Pański tysiąc snać nie jest „wiatrem“, gdy nam Pan tak regularnie co tydzień dziesiąty odeń nadsyłasz procent. Nadesłane: „buraki, cebule i araki“ zachowamy w naszéj apteczce dla czytelników Sobótki. — Panu N. N. z Poznania: Początek wyborny, ale końcowe „tka“ nie szczególniejszą zaleca się tkanką. — Panu C. Wys. w Noż. Mając sposobność poznać dowcip pańskiego przyjaciela z nadesłanego materyału, nie wątpimy ani na chwilę, abyś Pan nie miał być dowcipniejszym, dla tego wstrzymamy się za jego oryginalnemi pomysłami. — Ks. T. w K. Serdeczne podziękowanie. — Panom B. w Szczecinie i B. w Man. pod Śr.: Będziemy się starali zadość uczynić ich życzeniu.

Czytelnikom Sobótki interpelującym nas, czy rydwan Jowisza i Minerwy (w artykule „O tańcach w Polsce“ nr. 17) ciągnęły istotnie „osły“, odpowiadamy, że „osły“ tylko przez omyłkę drukarską dostały się na owo sławne wesele J. Zamojskiego, tymczasem zamiast „osłów“ były rzeczywiście „orły.“

P. B. B. — Znj. z pod Miłs. Dotąd nic nas nie doszło. Nadesłane wyborne. Dziękujemy.

Redaktor odpowiedzialny: Dr. Roman Szymański w Poznaniu, Lipowa ulica nr. 2. — Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznaniu. Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.